

Powieść, którą adaptował na scenę Andrzej Konie jest powieścią dla młodzieży. Adaptacja też jest dla młodzieży i wystawienie tej adaptacji przez Teatr Bagatela również jest zamieglom w stylu „teatr młodego widza”. Ale myliłby się ten, który sądziłby, że młodzieńca ma tu jakkolwiek znaczenie — i w samej powieści, i w adaptacji, i przedstawieniu.

Po pierwsze — powieść. Napisała ją nauczycielka i żona duchownego z Nowej Szkocji to znaczy z Kanady. Zrobiła to w roku 1966. Potem pisała dalszy ciąg i to kilka tomów, z których ostatni powstał w 1983 (sama pani Montgomery zmarła w 1942 czyli w dwa lata przed Marią Rodziewiczówną) zyskały jej światową sławę. Wszyscy czytali „Anię”, wszyscy nad nią roniliły, wszyscy odzywali się — sławę, że tysiąc jej układa się, mimo początkowych nieumiejętności, pomyślnie. Władnie — czy wszyscy? Kto mianowicie, kiedy, a przede wszystkim — czemu? Oto jest pytanie: czemu „Ania” stała się jedną z najbardziej poczytnych książek świata? Czemu może śmiało stanąć obok takich postaci jak Kacper Donald, Bolek i Lolek, Charlie Chaplin, Brigitte Bardot i Casius Clay? Czemu stała się symbolem, fantem, duchem zamieszkałym w miliardach duszynek ludzkich na przestrzeni całego wieku dwudziestego?

Z teatru

Ania z Zielonego Wzgórza

I czemu wszyscy ją tak kochają, a raczej — co chcą udowodnić — kochali? Żeby to wyjaśnić, trzeba by napisać bardzo obszernie studium o świecie współczesnym, które jednak nie byłoby niczym innym jak trawestacją na osazy naste znanej rozprawy wielkiego humanisty z opoki Odrodzenia, Erasma z Rotterdamu pod tytułem „Pochwała głupoty”. Dlatego też — ponieważ studium takie jest niemożliwe do napisania — zadawaliśmy się tu jedynie alegorycznym stwierdzeniem, że popularność „Ani” wynika z tych samych fródel, z jakich wynika słusność sformułowanego niedawno przez jednego z naszych najświetlejszych publicystów hasła, które brzmi: „Lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym”. Z pozorów wszyscy zgodziliśmy się bez namysłu na to, iż hasło to zawiera w sobie wiele prawdy. Jedynie nieliczni zrodzili się na wrzódz tołądka w zamian za podwyżkę o 100 proc. swych poborów lub na wycięcie jednej nerki w zamian za trzy tysiące dolarów. Ale o tych nielicznych nie mów-

my, bo zawsze znajdują się jakieś wyjątki. Potocznie jednak jest tak, że lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym i dlatego też wszystkim podobala się biedna sierotka, która jest wesoła, która potrafi swoim wdziękiem zawojuować swoje otoczenie, która ma dobre serdusko i wiele fantazji, która robi wiele zamieszania, ale nigdy nie robi nikomu krzywdy; która jest uczciwa, prawdziwa, roztępna, urocza i nieszyt ładna — lecz pełna wdzięku. Pani pastorkowa Montgomery miała wiele talentu i jeszcze więcej szczęścia — duch czasu przemówił jej ustami, a ona zapisała to, co on mówi. A ponieważ zapisała to dobrze, dlatego stała się popularna wśród najszerszych mas, które zawsze łakną dobra, piękna i prawdy. Łaknąc zaś — znajdują te walory w „Ani z Zielonego Wzgórza”.

Teraz sprawa druga — adaptacja sceniczna. Wydaje się, że pan A. Konie chciał zrobić na tej adaptacji interes, co mu się w pełni udało. „Ania” w wersji scenicznej przewodziła całą teatralną Polskę i wszędzie mia-

ła powodzenie. Jest to tym bardziej usprawiedliwione, że adaptacja jest doprawdy napisana lewą ręką, co w niczym nie umniejsza jej zasług dla podtrzymania budżetu polskich teatrów, który bywa nadszarpywany przez wystawianie Becketta, Fredry lub Szekspira. Adaptacja pana Konie jest — mówiąc krótko — na o wiele niższym poziomie niż sama powieść. Ale trudno — nie każdy potrafi zdobyć się na coś takiego, jak to, na co zdobyła się pani pastorkowa Montgomery.

I wreszcie sprawa trzecia — przedstawienie. Otóż pani Maria Bilizanka wystawiła w Bagateli sztukę w duchu teatru dla młodego widza. Ale niestety... Choć przedstawienie było bardzo podobne do poprzednich jej prac — zawiódła publiczność! I tu jest pieś pogrzebany! „Ania” w wykonaniu, naprawdę pełnym poświęcenia, pani Alicji Kobielskiej nie znajduje odzwidku w serduszkach widzów i w sercach ich starszych opiekunów i rodziców. Ania deklamuje za dorosłe na nią okrzęte zdania — i nikogo to nie śmieszy. Ania

popelnia gafy towarzyskie — ale brak towarzysztwa, żeby zdało sobie sprawę z faktu, że gafa została popelniona. Jedynie pijana przyjaciółka Ani wywołuje żywszą reakcję, jako że jest to rzecz znana i lubiana — patrzeć jak się pijany wygłupia. Przedstawienie obfituje w szeregowych momentów, które w normalnym teatrze uszalbimy za potknięcia. Ale nie tu, nie tu. Tutaj wszystko potoczyło się do końca, co prawda zbyt nagle, lecz poprzedzonego za to bardzo rozwiętką akcją. W sumie był to teatr jednego aktora — Alicji Kobielskiej, która wykazała dużą sprawność w mówieniu tekstu. Ale sam tekst już nie przemówił. Widocznie ludzie uznali, że nieprawdą jest jakoby lepiej było być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym. Może powiedzieli sobie — a niech tam, lepiej być bogatym i nawet chorym, niż biednym choć zdrowym. Niniejszym więc ogłaszam epokę z „Ani z Zielonego Wzgórza” za zamkniętą.

MACIEJ SZYBIST

Bagatela. L. M. Montgomery „Ania z Zielonego Wzgórza”. Przekład — Rachel Bernsteinowa. Reżyseria — Maria Bilizanka. Adaptacja — Andrzej Konie. Scenografia — Janusz Warpechowski. Oprac. muz. Zbigniew Sierpiński.